

Antoni Lange

ZBRODNIA

I INNE OPOWIADANIA

Amoryka

Antoni Lange

ZBRODNIA I INNE OPOWIADANIA

Antoni Lange

ZBRODNIA

I INNE OPOWIADANIA

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Władysław Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-60276-67-9

ZBRODNIA

Rozmawialiśmy o zbrodni, gdy Lucjan S., patrząc na nas swym nad wyraz łagodnym okiem, rzecze:

— I ja też popełniłem raz w życiu ciężką zbrodnię.

A gdyśmy ze zdumieniem słuchali tej rewelacji, opowiedział nam swoją „histoire d'un crime.”

— Więcej niż dwa lata temu, kiedy to skutkiem wojny japońskiej rozpoczęło się w całym kraju t. zw. w języku urzędowym „brożeńje”, pewnego razu o godzinie 10—ej wieczorem, otrzymałem z Kaolina telegram następujący: — „Przyjeżdżaj natychmiast. Sprawa nie cierpiąca zwłoki. Julia”. To wezwanie Julii wstrząsnęło mną do głębi. Pisywaliśmy do siebie rzadko. Telegram oznaczał, że sprawa musiała przewyższać wszelką miarę codziennego konwenansu. Pewno jaka gwałtowna scena z mężem. Może trzeba go będzie zamordować; bywają w życiu takie sytuacje.

Jak wiecie, Julia Czerwieńcowa jest moją siostrą przyrodnią, a właściwie nawet i to nie; nie jest wcale moją krewną. Jest to córka mojej macochy, gdyż ojciec mój, owdowiawszy, ożenił się z wdową dietną. Miałem może szósty rok, kiedy Julia, jako dwuletnia dziewczynka, weszła do naszego domu.

Wychowywałem się z nią razem tak, że ją uważałem jak siostrę, a choć zdarzały się momenty, że może dla niej żywiłem jakieś silniejsze uczucie, to jednak zawsze mię żenowała myśl o podobieństwie jakiego bądź ściślejzego z nią związku, który wydawał mi się niemal kazirodztwem. Ostatecznie mogłem się być z nią ożenić, bez naruszenia jakiegokolwiek zasady prawnej czy etycznej, tym bardziej, że i z jej strony niewątpliwą miałem sympatię. Przeważały skrupuły — i stało się inaczej. Julia wyszła za Michała Czerwieńca, człowieka na oko dość przyzwoitego, uposażonego wcale dobrze; który może i zdołałby zapewnić szczęście swej żonie, gdyby nie szczególne cechy jego charakteru, wynikające w znacznym stopniu z cierpienia wątroby i żołądka. Początkowo było to wszystko niewidoczne, gdyż Michał, o ile chciał, był wielce układny i umiał grać rolę bardzo subtelnego i wykwintnego człowieka. Co Juwenalis mówi o kobietach, że poza domem są przyjemniejsze niż w domu, to da się znakomicie zastosować do Michała. Niesłuchanie rzadko się zdarza, żeby mąż w stosunku do żony zachowywał reguły grzeczności salonowej; przeciwnie, często człowiek słynny między ludźmi jako wersalcyk, w domu bywa ohydny grubianin i brutal. Nazywa się to: zdjąć wykrochmalony kołnierzyk. A jeżeli nadto człowiek ten jest chory na żołądek i na wątrobę, to pomyślcie, ile przykrości musi znosić otoczenie. Nie można powiedzieć, aby Michał żony swej nie kochał; owszem, ale była to dusza biuralisty, dla którego wszystko miało sens jednowartościowy. Był urzędnikiem, i to nie tylko z przypadku; był urzędnikiem całą duszą i ciałem. Biuralistą był też jako mąż — i po biurowemu kochał swoją żonę. Ale w równym stopniu kochał swój rower, swego psa Boksa i swoją sól karlsbadzką, którą brał regularnie co dwa dni, przez parę miesięcy corocznie; na krótki tylko czas przeszedł do skrzypu (*equisetum*), podług przepisu ks. Kneippa, ale znów powrócił do soli karlsbadzkiej, która jest jedynym, wypróbowanym środkiem zarówno na żołądek, jak na wątrobę. Lekarza miał, który go zapewniał,

że choremu na wątrobę bardzo użyteczne jest od czasu do czasu zgniewać się porządnie, zirytować, skrzyknąć wszystkich dokoła, bo to fosforyzuje wątrobę. Oczywiście Michał — jako biurokrata gorliwy — korzystał z tego wskazania ściśle i obficie; tę receptę *mądrogo* Eskulapa, najbardziej odczuwała Julia, która, jako punkt najslabszego oporu, stanowiła dla Michała najlepszy akumulator jego wybuchów wątrobianych.

Zresztą był doskonałym administratorem, powierzony sobie interes prowadził uczciwie i z największą dokładnością, co mu jednak nie przeszkadzało być w nieustannej wojnie z dyrekcją, z personelem urzędniczym, a także i z robotnikami.

Co do robotników wszelako miał swoją osobną politykę — chciał ich właśnie zadowolić; wiadomo też było, że wobec dyrekcji zawsze stał po ich stronie; szło mu zaś o to, aby słyszeć o sobie: „Ho, ho! Czerwieniec — to ci surowy chłop, ale sprawiedliwy psiamać!” Jakiś czas istotnie, polityka ta prowadziła do celu, ale kiedy nastąpiło „brożenie”, postawa robotników zupełnie się zmieniła.

Muszę tu wyjaśnić, że Michał był zarządzającym średnich rozmiarów fabryki wyrobów fajansowych pod nazwą „Kaolin”, w Krakowskiem. Pomimo dźwięcznej nazwy jednakże, glinka kaolinowa, zapewne w małej ilości znajdująca się w tutejszym gruncie, dawno już została wyczerpaną, i pozostały tylko gliny pośledniejsze, nadające się do wyrobu garnków i niższych rodzajów talerzy, misek, dzbanów, kafli i t.d. Toteż fabryka kaolińska wyrabiała tylko gatunki tańsze, co — jak się okazało w praktyce — było nader zyskownym interesem. Mimo to przewrót, jaki spowodowała w przemyśle wojna i „brożenie”, sprawił, że fabryka była prawie nieczynną od paru miesięcy, a zapasy towaru były bardzo znaczne. Mówię o tym wszystkim, abyście zrozumieli sytuację, jaką zastałem po przyjeździe.

Oczywiście, skoro tylko o godzinie dziesiątej wieczorem dostałem telegram Julii, natychmiast wyruszyłem na dworzec kolei żelaznej, i o trzy na jedenastą jużem siedział w wagonie.

Nie miałem czasu nawet wziąć ze sobą najlichszego bagażu, zabrałem tylko rewolwer, gdyż od stacji Glinicze koło pięciu wiorst prowadzi do Kaolina, po wertepach, a przy tym jechałem nocą — mały browning mógł być przydatny. Na stacji mogłem być koło drugiej, na miejscu koło trzeciej rano.

Pociąg pędził dość szybko, choć dla mnie zawsze zbyt powoli. Kilka osób było w moim przedziale; jegomość szpakowaty o szerokich ustach murzyńskich i dwie damy, starsza i młodsza w wielkim czerwonym kapeluszu, a która figlarnie uśmiechała się do mnie, w czasie, gdy jej towarzyszka, uśpio-na, kiwała się na prawo i na lewo. Nie miałem ochoty do rozmowy i całą drogę ważyłem znaczenie telegramu. Nareszcie usłyszałem okrzyk:

— Glinicze! Jedna minuta!

Wyskoczyłem z wagonu. Sam jeden się tu zatrzymałem. Pociąg po chwili ruszył z gwałtownym świstem, wyrzucając ogromne kłęby pary.

Znalazłem się naraz jakby w próżni. Noc była pochmurna, czarna, bez gwiazd i bez księżycy.

Glinicze — Jest to mała stacyjka, właściwie przystanek.

Kilka naftowych latarek lichy oświetlało budynki.

Wszedłem do sali, będącej naraz bufetem, kasą i składem bagaży.

Już w chwili, gdym stanął na platformie, uderzył mię odgłos śpiewu na sali. Istotnie tłoczyło się tu kilkanaście osób; byli to robotnicy fabryczni i kolejowi, wieśniacy okoliczni, żydzi z miasteczka, nawet kilka bab; był jakiś pan w pelerynie; ale centralną osobę zgromadzenia poznawałeś od razu: był to miejscowy wachmistrz żandarmerii.

— Gaspada! — mówił wachmistrz — a my to zapojem Czerwonego, bo teraz taki czas, że prawitielstwo dałoj! a wsio budiet tiepier dla naroda; dla muzyków i dla rabocznych, dla biednych parszywych żydów i dla niżnich czynów! Taki czas teraz przisoł. Ja był wiernyj sługa prawitielstwa, ale teraz to ja mówię: dałoj! Bo — jak mi tu pisze mój brat z Gundzulina,

z etoj proklatoj Mandżurii — że ich trydcaty strelkowy połk przez całą niedzielę nic w pysku nie miał, a gaładał straszno, a tym wremieniem gienierał pił szampanskoje. A potem, jak się w armji zrobił bunt, to sta sorok czełowiek rozstrzelali, i wtedy — pisze mój brat — wielkie „brożenje” poszło po narodzie! Tak ja mówię: datoj prawicielstwo i szabaszi!

Tak perorował wachmistrz glinicki, a potem, oglądając się niby to z trwogą dokoła, nagle zapytał żartobliwie:

— Ale, gaspada! Czy tu niema gdzie żandarma?

Śmiech się rozległ wśród słuchaczy, a potem zabrzmiała pieśń:

Nasz sztandar płynie ponad trony!...

— Panowie! — zawołałem, gdy nastala chwila ciszy. — Czy niema tu koni z Kaolina, lub czy mógłbym znaleźć bryczkę?

Pan w pelerynie zbliżył się do mnie.

— Jestem Miller, właśnie z Kaolina, chemik. Jeżeli pan sobie życzy, to możemy razem pojechać. Ja tu czasem na stację, bo człowiek ciekaw, co słycać na świecie... A u nas, panie, głusza i tyle... E, Paweł! po—da—waj! Jedziemy...

Przedstawiłem mu się, zadowolony, że będą miał kompanię.

Zaturkotało na dziedzińcu stacji. Paweł zajechał bryczką kaolińską.

— A szanowny pan do kogo? Mogę przenocować. Jestem w wolnym stanie. Ni chatynki, ani zinki... Teraz, panie, to ja tylko politykę robię: z tym wachmistrzem — to głowa rewolucji w naszym powiecie — i z Pawłem — tęgi człowiek! Zobacz pan: my z nim pogadamy. Ja tu dla nich odczyty miewam, panie, z ekonomii, o socjalnych reformach gadam. Tak społeczeństwo wywracam do góry nogami, jak babkę z piasku. Bywają tu robotnicy, nawet dziewczuchy...

Konie rżały z niecierpliwości. Czują, że do domu wracają. Siedliśmy do bryczki, otuleni w burki. Paweł trzasnął z bicia, zadyrgował: wioo—o! Ruszyliśmy.

— No, cóż, Pawle? jakże tam będzie? — rzecze Miller.

— Będzie, będzie zaraz na zwiesnę wielka wojna, pewnikiem! Już tam pod Miechowem stoją nasze sokoły, niby te krakowskie, sześćdziesiąt tysięcy! i niedługo przyjdą do nas, jeno czekają na tych z Ameryki; tam przygotowali polskie wojsko — tęgie i ładnie kolorowo ubrane, a ono to płynie do nas przez wielkie morze i na zwiesnę będzie tu, a z tymi sokolami się spotka. Sześćdziesiąt tysięcy! Tylko Niemcy, psubraty, chcą tu nam pobruździć i swoich tam dragonów wystawili na pruskiej granicy... Sześćdziesiąt tysięcy!...

Tak nam całą drogę politykował Paweł, a Miller od czasu do czasu to mnie nogą trącał, to w rękę szczypał, zadowolony wymową furmana. Śmiał się serdecznie: był to człowiek bardzo dobroduszny i pełny humoru. Śmiał się z wojny, z rewolucji, z kryzysu ekonomicznego, z Pawła i wachmistrza... Śmiał się z grobowo czarnej nocy, którą tu i owdzie ledwo nieco rozświetlały białe pokłady nieobfitego śniegu... Śmiał się z przepaścistej, nierównej drogi, która wiodła z Glinicz do fabryki; z podskakiwania bryki, która dwa lub trzy razy o mało nie runęła do rowu...

— A cóż tam słyhać w Kaolinie? — zagadnałem.

— Wcale dobrze. Próznujemy po sułtańsku. U nas strajku nie będzie, bo zarząd sam powiedział: halt! Nawet elektrykę zgasili. Patrz pan; gdyby nie to, i nam i koniom świeciłaby gwiazda przewodnia. Jedziemy w mrok bezdenny: „tenebrae tenebrarum”. Ze dwudziestu ludzi zostało i pieców pilnują. Słowem, wybornie, lepiej niż w Mandżurii, i żeby nie ten pies Czerwienieć, toby się tu żyło jak w rajku.

— Dlaczego pan tak mówi? Ja właśnie mam się z p. Czerwieniecem zobaczyć.

— Co tu gadać?! Pies — i tyle! Ani robotnika, ani majstra, ani chemika, ani dziedzica nie puści, żeby nie zalać sadła za skórę; i to wszystko po prostu tylko dla konkokcji, żeby mu wątroba nie gnęła. A już najbiedniejsza — to, panie, jego żona; co się ta kobieta nacierpi, to rzecz niesłychana! Wie pan, dlaczego ja jestem taki „wesoły, szczęśliwy”? Nie dlate-

go, że przy Port Arturze bierzemy po skórze, i nie dlatego, że wachmistrz w powiecie Glinickim podniósł ognistą chorągiew rewolucji, ale dlatego, że nie jestem żoną tego psa Czerwieńca, że w ogóle związany jestem z nim bardzo luźno, że jutro rano mogę mu powiedzieć: „au revoir!” — odjechać sobie precz — i „aus”: nie znam go. Ale ona!... Panie, toż choć z daleka, ja widzę ich życie. Klnę się na wszystkie świętości, najśmiertelniejszy grzech byłby odpuszczony w niebie temu, coby ich do rozvodu doprowadził... Ale myśli pan, że ją dałoby się namówić; dzieci — obowiązki — stało się — wyrok Boży — pokuta! Czy ja wiem?... Nieraz tak ostrożnie słówka z niej wyciągam... To zacna kobieta, ale przestarzałych pojęć: sakrament — przesady i t. d. Cóż robić?! Dużo takiej starej ciemnoty jest na świecie; my to wszystko zmienimy, skoro tylko wachmistrz zwycięży, a Paweł sprowadzi z Ameryki sokółów... Ale oto dom już blisko; noc późna, niech pan zajdzie do mnie na spoczynek, i tak się pan dość nadusi jadowitym gazem tej Psiej grotty...

Słuchałem w milczeniu. Rewelacje te były mi przykre, choć wcale nie niespodziewane. Skorzystałem z grzeczności Millera i postanowiłem przenocować u niego.

Kaolin był pogrążony w głębokiej ciemności. Kominy fabryczne sterczały na powietrzu jak czarne szubienice. Domy mieszkalne większe i mniejsze, zlewały się z mrokiem nocy w jakieś wielkie, czarne potwory. Na kilku domach tylko świeciła mała biała latarnia. Zresztą ciemność bezgraniczna i cisza grobowa.

Nazajutrz rano, koło godziny 10—ej, zadzwoniłem do mieszkania Czerwieńców. Serce biło mi z lekka, pełne niepokoju, co za tajemnica kryje się poza słowami telegramu. Słuchająca otworzyła mi drzwi, i wnet znalazłem się w obszernym, dość wytwornie umeblowanym salonie, Na ścianie, wśród zwierciadeł i premii Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, spostrzegłem dwie akwarele, malowane przez Julię, jeszcze za czasów panięskich, w Zakopanem: Giewont i widok z Ro-

stoki. Zarzuciła od dawna malarstwo; również osieroconą fizjonomię miał stojący w kącie salonu fortepian.

Cisza była w izbie, gdy naraz wybiegły do mnie wyświeżone dzieci Julii, dwóch chłopczyków i mała, czteroletnia dziewczynka; witały mię z hałasem i śmiechem, jako drogiego wuja, który przesyłał im od czasu do czasu zabawki, cukierki i książki z obrazkami. Radość ich była wielka, a Władzio wnet rozwinął małą czerwoną chorągiewkę, i dzieci rozpoczęły po izbie uroczysty pochód, śpiewając na nutę Marsylianki:

Dalej, przypuśćmy szturm,

Do więzień i do turm!

Wkrótce zjawiała się w progu moja siostra przyrodnia; jak zawsze, była piękna, alabastrowo—biała, o klasycznym owalu, delikatnie zarysowanej szyi i wypukłym czole; ale dziwnie zmęczony był wyraz jej twarzy, tak, że od razu w jej błękitno—stalowych oczach czytałeś bezgraniczną tęsknotę za zmianą. Jaką? Zmianą miejsca, otoczenia, życia — zmianą planety... Widocznym było, że połową marzeń swej duszy żyje gdzie indziej... Chwilowo, rzekłbyś, na mój widok — uśmiechnęła się uśmiechem ust, które prawie nie znają uśmiechu... Była to kobieta, wysoka, smukła, w pełni trzydziestu lat, kształtów bogatych i harmonijnych, snadź urodzona do szczęścia i pokoju, a którą los postawił na linii beznadziejnego smutku i tęsknicy.

Złoty, bujny, rozpleciony włos strumieniem spływał jej po ramionach na granatową, luźną, ranną suknię.

Zbliżyła się i powitała ze mną serdecznie. Długo trzymałem jej dłoń w swoim ręku; oczy miała podsiniawe, w kącikach ust i powiek rodzaj zmarszczek, przedwczesnych zwiastunów starości, wymowne świadectwo jej cierpień. Usta nasze milczały, ale oczy mówiły sobie rzeczy dawne i zapomniane. Patrzyłem w te płomienne niegdyś błękity jej źrenic; nieco przybladły, jakby spłwiałały; krążyły dokoła, niby szukając beznadziejnie osi swego ducha, oczy te, niegdyś w jeden blask żywej stali skoncentrowane.

Było w nich przerażenie i zniechęcenie; słabość ducha, który nikomu nie mocen uczynić krzywdy. Była to istota niezdolna nikomu powiedzieć złego słówka i dlatego bezbronna i zgnębiona przez życie.

Zawołała bonę i usunęła dzieci z pokoju. Czekałem tej chwili niecierpliwie, gdyż mi szło przede wszystkim o dowiedzenie się, co znaczy cała ta historia. Jak się ma „tamten” i czy jest w domu? — Poszedł do fabryki, gdyż zawsze tam jakaś robota, korespondencja lub rozmowa się znajdzie.

— Bardzo ci dziękuję — zaczęła Julia, głuchym, prawie bezdźwięcznym głosem, który dopiero stopniowo się ożywił, wpadając w melodyjne contralto. — Bardzo ci dziękuję, żeś przyjechał. Jesteśmy nader niespokojni. Ani się domyślasz, jakie tu życie teraz na prowincji. Nieustanne rozboje i napaści. Michałowi grożą bezimiennie... Czy ty wiesz, że Bar, dyrektor fabryki Czempin, został zabity? a kasjera z Wigla zraniono i ograbiono?

Zaczynałem się domyślać rzeczy.

— Więc to „brożenie” doszło i do was...

— Doszło... O, spójrz! — zapaliła się nagle i, prawie przerażona, wyjęła z kieszonki list na grubym papierze.

Podawała mi go.

— To Michał ten list dostał — bezimienny list — przeczytaj...

List, wyrysowany bardzo pierwotnym pismem i straszliwą ortografią, mieścił takie mniej więcej, mało obiecujące, słowa:

„Ty hyclu, draniu, złodzieju! Jeżeli nie przestaniesz gnębić poczciwych ludzi, to wiedz, że dostaniesz kulą w łeb, bo wyrok śmierci na ciebie wydany, a najlepiej wynoś się stąd do diabła, i dajemy ci trzy miesiące czasu, żebyś się poprawił i swoich krzywd zaprzestał... Ten, co wiesz... Zemsta!”

Niżej jakaś quasi—pieczęć: jak podejrzewam, był to po prostu orzełek, odbity z trzykopieskowej monety.

— I cóż ty na to? — pytała tak zatrwożona, jakby miała skarb utracić!

Taka jest siła nawyku i bierności kobiecej: zapomniała o wszystkich przykrościach, jakimi życie jej zatruli mąż i myślała tylko o nieszczęściu, jakie miało go spotkać. Najczulsza kochanka nie inaczej by się zachowała. Może też ów zapaszek melodramatu, który się krył w tej sprawie, oddziaływał na nią...

Co do mnie, to wyznaję, że list ten osobliwe dał mi wrażenie. Odczytałem go spokojnie, nawet z pewną sympatią. Pół bezwiednie myślałem sobie:

— Kto wie, czy to nie byłoby najlepsze?

Nie powiedziałem tego oczywiście głośno ale starałem się przeniknąć niedopowiedziane myśli Julii. Umiałem czytać w jej oczach; pod spłowiałą powłoką szafiru jej spojrzeń, odgadłem pewną szczególną formę jej zadowolenia. Oto pyszny i butny jej małżonek, od czasu tego listu znacznie spokorniał. Może w głębi serca bał się tego człowieka, co list napisał, choć nie chciał po sobie strachu pokazać. On to pod telegramem podpisał imię Julii, gdyż sam nie lubił zwracać się do mnie.

W każdym razie niepodpisany pan Zemsta sprawił, że Julia spokojniej patrzyła na męża.

Po południu zjawił się władca i pan tych pięciu pokoi, oraz całej ludności, w nich zamieszkałej. Był w lisiurce i długich butach, a na ramieniu nosił dubeltówkę, jakby miał iść na polowanie; wielki, do niedźwiedzia podobny, czarny pies sybirski, zwany Boks, towarzyszył Michałowi.

Taki strój uważał Czerwieniec za odpowiedni, ile że Kaolin był teraz stale w pogotowiu bojowym.

Michał był to mężczyzna dość przystojny, krępy, o wyrazie twarzy zimnym i przebiegłym; brunet smagły, był wygolony po angielsku, co nadawało jego fizjonomii typ aktorski; miał duży nos, grube, mięsiste, zmysłowe wargi i świdrujące czarno—piwne urzędnicze oko. Przywykły do panowania nad